

Adam Bahdaj

# DO PRZERWY

O :



# Rozdział I

## 1

Adam Bahdaj  
**Do przerwy 0:1**

© by Adam Bahdaj  
© by Wydawnictwo Literatura

Okładka:  
Łukasz Ryłko

Skład i korekta:  
Lidia Kowalczyk, Joanna Pijewska

Wydanie VI  
w Wydawnictwie Literatura, Łódź 2022

ISBN 978-83-8208-084-1

Wydawnictwo Literatura



91-334 Łódź, ul. Srebrna 41  
handlowy@wydawnictwoliteratura.pl  
tel. (42) 630-23-81  
www.wydawnictwoliteratura.pl

**M**aniuś obudził się. Przetarł oczy, ziewnął i nieprzytomnym od snu wzrokiem powiódł po pokoju. Było pusto i cicho, tylko z zepsutego kranu kapła monotonna woda.

Maniuś przeciągnął chude ramiona i wystające spod koca, niezbyt czyste nogi. Z wygrzanego ciała wyganiał resztki drętwoty. Widocznie ciotunia już wyszła – pomyślał, gdy ocknął się zupełnie. – Trzeba popatrzeć, czy zostawiła śniadanie.

Wstał. Chwiejnym krokiem podszedł do pieca. Na blasze w nieładzie stały stare, okopcone garnki. Po kolei podnosił pokrywki, opuszczając je z coraz większym rozgoryczeniem. Wszystkie garnki zionęły pustką; nawet ten średni, czerwony z urwanym uchem, w którym ciotka zwykle zostawiała kawę.

To mnie ciotunia urządziła – myślał, kręcąc z niedowierzaniem głową. – Nie zostawiła nawet kropelki. Pewno się bardzo spieszyła i nie zdążyła ugotować kawy. Albo nie miała już pieniędzy na paczkę zbożowej i cukier.

Chłopiec nie tracił jednak nadziei. Otworzył stojącą obok pieca szafkę. Schylił się, zaczął grzebać wśród talerzy, misek i starych, szeleszczących torebek. Prócz garstki kaszy jaglanej na dnie papierowej torebki, niczego nie znalazł. Stał chwilę strapiony, palcami czochrał sztywne włosy, powtarzał bezmyślnie:

– Ale mnie ta ciotunia urządziła! Ale mnie ta ciotunia urządziła!...

Należał jednak do chłopców, których trudno doprowadzić do rozpacz. Po chwili, gdy zrozumiał, że bezcelowo gapi się w puste wnętrze szafki, gwizdnął zawadiacko i nie zastanawiając się wiele, odkręcił kran. Woda chlusnęła z szumem. Manius rozpoczął swą poranną toaletę. Polegała ona na umoczeniu rąk, przetarciu nimi oczu i nosa i kilkakrotnym parsknięciu dla dodania sobie odwagi.

Po umyciu poczuł się rześko i wesoło. Nic już nie mogło zmącić jego dobrego nastroju, z którym zwykł budzić się rano. Nie pierwszy to raz wychodził z domu bez śniadania. Jakoś sobie poradzi. Tacy jak on nie zwykli martwić się byle drobnostką. Zagwizdał piosenkę, którą usłyszał wczoraj pod PDT na Wolskiej: „Nicolò, Nicolò, Nicolino...”. To przywróciło mu zupełną równowagę.

Spojrzał w okno. Ślepe mury sąsiedniej kamienicy jarzyły się jasnym słońcem, płat nieba nad dachem był czysty i wesoły. Wszystko zwiastowało, że całe przedpołudnie można będzie powłóczyć się po mieście.

Ubrał się szybko. Ta czynność nie zabrała mu wiele czasu. Garderoba bowiem składała się z dziurawych tramppek, polatanych welwetowych spodni i trykotowej koszulki. Jedyńm szczegółem, który temu ubiorowi nadawał nieco świetności, była nowa czapka „kolarka” z małym podwiniętym daszkiem. Z fantazją nasunął ją na głowę, pobieżnym spojrzeniem sprawdził swój wygląd w wyszczerbionym lustrze i gwizdząc „Nicolò, Nicolò, Nicolino”, wyszedł z pokoju.

Zamknął drzwi, klucz włożył pod szmatę, która służyła za wycieraczkę. Zakończył w ten sposób pierwszy rozdział dnia. Dnia – jak każdy inny. Nie zastanawiał się nad nim ani nie roztkliwiał.

Nie zastanawiał się również, dlaczego schody tak niemiłosiernie trzeszczą pod jego trampkami. Były to przedziwne

schody: kilka zbitych, przegniłych desek połączonych wytartymi poprzeczkami, odgradzonych od czeluści windy chwiejącą się barierą. Zejście z czwartego piętra wymagało znajomości akrobacji, ale Manius schodził tak lekko i tak beztrudnie, jakby to były ruchome schody na Trasie W-Z.

Przedziwne te schody wisiały w przedziwnym domu. Przerąbany na pół przez bombę, stał teraz jak pszczeli plaster wyjęty z gigantycznego ula, odsłaniając przekrój zamożnej niegdyś kamienicy czynszowej. W jej wnętrzu ubodzy mieszkańcy Woli wbudowali swe prymitywne mieszkania niby gniazda gołębie.

Dla Maniusa była to najzwyklejsza, najnormalniejsza w świecie kamienica. Odznaczała się jedynie tym, że przewyższała swe sąsiadki o dwa piętra, a okoliczna ludność nazywała ją „Gołębnikiem”. Było to bardzo praktyczne. Gdy ktoś Maniusa zapytał: „Gdzie mieszkasz?” – nie musiał się długo zastanawiać, mówił po prostu: „W Gołębniku” – i to zupełnie wystarczało.

Na czwartym piętrze gnieździły się tylko dzikie gołębie, wróble i nietoperze. Na pozostałych zbite z desek drzwi świadczyły, że tutaj mieszkają ludzie.

Manius zatrzymał się na chwilę. Zza parapetu wziął żelazny pręt i trzy razy uderzył nim w szynę windy. Zabrzmiało to jak uderzenie w gong. Na ten odgłos z obu stron klatki schodowej niemal równocześnie uchyliły się drzwi, a w drzwiach stanęło dwóch chłopców: jeden rostry, wysoki, z jasną, otwartą twarzą i jasnymi, kędzierzawymi włosami; drugi niski, szczupły, uczesany na jeża, o twarzy wątlej, upstrzonej piegami.

– Cześć! – przywitał ich przyjaźnie Manius.

– Cześć! – odpowiedzieli jak na komendę.

– Wakacje, bracie! – uśmiechnął się Boguś, ten uczesany na jeża, nazywany przez chłopców „Perełką”.

Maniuś wyduł wargi.

– Mnie tam wszystko jedno, czy wakacje, czy nie...

– No tak, nie chodzisz już do szkoły.

Drugi z chłopców, Felek, zwany na Górczewskiej „Mandżaro”, uważnie przyjrzał się Maniusiowi.

– Słuchaj, Paragon, dobrze, żeś się zjawił. Zaczynamy dziś trening. Powiedz wszystkim, żeby przyszli o czwartej na boisko. Dobra? – Głos miał suchy, niemal rozkazujący.

Maniusiowi nie spodobał się ten ton.

– To się zobaczy.

– Co się zobaczy? – zachnął się Mandżaro. – Przecież ty jeden masz czas.

Maniuś skrzywił się.

– Tak ci się zdaje.

– A cóż masz do roboty?

– Ech, bracie – uśmiechnął się cierpko. – Życie nie jest bajką ani filmem. Ty wszystko legalnie masz w domu, a ja muszę organizować.

– O co chodzi?

Maniuś chciał już powiedzieć, że mu ciotka nie zostawiła śniadania, ale rozmyślił się. Trzeba przecież mieć ambicję. Nie można się skarżyć. Machnął więc ręką i rzucił kpiąco:

– Dobra jest, zrobi się, jak pan prezes rozkazuje.

Mandżaro nie wyczuł kpiny.

– Pamiętaj, żebyś nie nawalił, bo to ważna sprawa. Musimy zmontować silną pakę.

– W niedzielę zagramy mecz z chłopakami z Okopowej – wtrącił Perelka i aż oczy mu zabłysły na tę myśl.

Maniuś zmarszczył brwi.

– Z Bażantami?

– A jakżeś chciał?

– Oni nam wleją, zobaczycie.

– Nie wiadomo.

– Do kółka.

– Zobaczymy.

– Zobaczymy – powtórzył Maniuś i pstryknął w daszek czapki na pożegnanie.

Mandżaro przechylił się przez poręcz.

– Pamiętaj, Paragon, o czwartej na naszym boisku!

## 2

Cała sztuka zbierania pustych flaszek polegała na tym, żeby dobrze znać miejsca, w których można było je znaleźć. W tej dziedzinie Maniuś miał niemałe doświadczenie. Kiedy wyszedł z Gołębnika, od razu skierował się ku wielkiemu placowi budowy, gdzie wznoszono nowe bloki mieszkalne. Okrążył wysoki, zbity z odpadków desek płot, ominął wielkie doły z wapnem, zbliżył się do baraków, z których dolatywało senne stukanie biurowych maszyn. Wiedziony nieomylnym instynktem, odnalazł miejsce, gdzie wczoraj po fajerancie murarze wypróżniali butelki. Był to zaciszny kąt między dwoma barakami, osłonięty nisko spadającym dachem, który ochraniał zarówno od deszczu, jak i gorących promieni słonecznych. Chłopiec nie omylił się. Pod ścianą na podmurówce z cegieł stało pięć pustych butelek po „czystej”, ułożonych według wzrostu: na czele litrówka, potem półlitrówka, a na końcu trzy ćwiartki – szeregowe tego małego oddziału. Widać było, że ułożyła je fachowa ręka, że konsumentów ze zbieraczami łączyła jakaś nieumowna solidarność. Wszystkie butelki były całutkie i czyste. Nie trzeba było ich myć.

Maniuś gwizdnął, wyrażając w ten sposób swe zadowolenie i podziw dla poczucia porządku i ładu. Będzie „piątek”

– pomyślał. – Bez pomocy ciotuni też można żyć na świecie, zwłaszcza na Woli.

Zabrał flaszki, wrócił na Górczewską, gdzie pod numerem 105 za wystawową szybą widniał duży napis: „Skup butelek”.

– Paragon, ty znowu tutaj! – przywitała go ekspedientka. W głosie jej można było wyczuć sympatię dla chłopca. – Pięć buteleczek, pani szefowo. – Manius uśmiechnął się całą gębą i łobuzersko przymrużył oko. – Prosto od konsumentów. Wiadać, że cyrkulacja na sto dwa.

– Czyste?

– Jakbym śmiał przynieść brudne, pani szefowo? Bez zmruczenia oka można napęlić i nie stanie się krzywda zarządzeniom sanitarnym.

Gdy z kasy otrzymał banknot pięciozłotowy, splunął nań, przybił dłonią.

– Dobra jest, pani szefowo. Pani zawsze mi szczęście przynosi. Dobry na dziś początek. Odpływam, bo dalsze interesy na mnie czekają. Trzeba żyć...

W jego przemówieniu tyle było dojrzałości i zarazem poczucia godności, że ekspedientka, patrząc na wyrostka, zadumała się na chwilę.

Manius załatwiwszy sprawy urzędowe, zmienił ton. Przybliżył się, rozejrzał się, czy ktoś nie podsłuchuje, zaczął mówić poufnym szeptem:

– Pani Kaziu, a ten brunet Zbyszek, no wie pani, znowu się o panią pytał. Gdyby pani potrzebowała jakiś liścik albo wiadomość, to ja chętnie służyć. Dla pani to wszystko, panno Kaziu, tylko żeby mi pani nie kazała flaszek myć, bo tego nie lubię.

Ekspedientka szybkimi ruchami poprawiała utlenione włosy.

– A co pan Zbyszek?

– No co? Pytał się o panią: jak zdrowie, jak szanowna familia i w ogóle w ten deseń.

– I nic więcej?

– Więcej? Więcej nie pamiętam, panno Kaziu. Ale jak będzie trzeba jakiś liścik lub inną korespondencję, to do usług. – Uniósł dłoń do daszka i posyłając pulchnej ekspedientce najweselszy na całej Woli uśmiech, zniknął w drzwiach.

– Ach – westchnęła, patrząc w puste drzwi – jaki miły chłopak z tego Paragona!

Manius tymczasem skierował się do baru mlecznego Pod Bitą Śmietanką. Obliczał w myśli, co będzie mógł zjeść za pięć złotych. Po chwili doszedł do wniosku, że zafunduje sobie dużą bułkę i kubek mleka, a resztę schowa na inne wydatki.

Wychodząc z baru mlecznego czuł się tak, jak powinien czuć się chłopiec w jego wieku po spożyciu dobrego śniadania. Wsadził ręce w kieszenie i zagwizdał piosenkę, od której nie mógł się odczepić: „Nicolo, Nicolo, Nicolino...”.

Szedł wesoły i beztroski. Mijał rzadkich o tej porze przechodniów, pozdrawiał znajomych.

– Jak się masz, Paragon? – witali go z daleka.

A on mrużył iskrzące się oczy i odpowiadał:

– Dziękuję, nie najgorzej!

– Jak się masz, Paragon? – zatrzymała go na rogu pani Wawrzynek, właścicielka wózka z owocami, kobieta w sile wieku, której obfite kształty rozsadały obcisłą perkalową suknię.

– Dzień dobry, pani szefowo! Jak interes idzie? Czy szanowne „klapsy” staniały? – witał dobrą znajomą, z którą łączyło go moc wspólnych spraw.

– Cóż ty dzisiaj taki wesoły? – zapytała handlarka, odpędzając muchy z owoców.

– Jak zwykle, pani szefowo. Cóż robić? Jak panią zobaczę, to mi się od razu humor poprawia. Fakt, nie lekrama. A może i dla mnie znajdzie się jakaś robota? Jabłuszka wyglancować albo czereśnie przebrać? Wpadłoby do kieszeni kilka „kapsli”.

Pani Wawrzynek nie miała wprawdzie pilnej roboty dla przygodnego pomocnika, ale jak tu odmówić chłopcu, który przywitał ją z największą galanterią? Oj, co Wola, to Wola, ludzie tu grzeczni, dobrze ułożeni, chociaż zadziorni i nie dadzą sobie w kaszę dmuchać.

– No, niby roboty żadnej nie ma – odrzekła z uśmiechem na lśniącej od potu twarzy – ale możesz czereśnie przebrać, bo niektóre już zepsute i klientela nosem kręci.

Ha – myślał Maniuś, przebierając lepkie i broczące sokiem owoce – ciotunia nie zostawiła śniadania, ale człowiek inteligentny i uprzejmy z głodu nie umrze. Trzeba mieć tylko w głowie dobrze umeblowane i obrotny język w gębie...

Czereśni nie było wiele. Część z nich zawędrowała do żołądka Maniusia, część na śmietnik, a część do kosza.

– Aleś przebrał! – Pani Wawrzynek załamała ręce. – Połowy z tego nie zostało.

– Trudno, pani szefowo – tłumaczył jej Maniuś. – Pani to znana firma, złego towaru klienteli nie podsunie. Legalna obsługa, nie tak jak w MHD, gdzie same zgniłki przywoitym ludziom za świeży, prosto z drzewa owoc sprzedają.

Udobruchana pani Wawrzynek przytaknęła tylko, wyciągnęła z kasy dwa złote i wygładziwszy je w dłoniach, podała chłopcu.

– A jak będziesz miał czas, to przyjdź znowu. U mnie zawsze robota się znajdzie.

Maniuś dotknął palcami daszka kolarki.

– Szanowanie, pani szefowo! Szanowanie najsolidniejszej firmie na Woli! Pomyślnych obrotów i strzeż Boże od mank!

Odszedłszy na przyzwrotną odległość, wyjął z kieszeni dużą, rumianą gruszkę. Kiedy znalazła się w jego kieszeni, tego sam nie wiedział. Widocznie gruszki pani Wawrzynek mają tę właściwość, że same wskakują tam, gdzie trzeba. No cóż – pomyślał – to premia za przebieranie czereśni. Wbił w owoc zdrowe zęby, aż sok popłynął strużkami po brodzie. Zajadając soczystą gruszkę, chwalił w myśli panią Wawrzynek za dobry towar.

Za następnym rogiem zatrzymał się przed witryną, zza której uśmiechała się do niego gipsowa twarz uszmiokowanej piękności. Była to jedyna reklama zakładu fryzjerskiego trzeciej kategorii pana Euzebiusza Sosenki. Na gipsowej głowie puszył się fantazyjnie zaczesany kok spłowiałych włosów, barwy nieczyszczonego lnu. Gdyby nie przyklejone rzęsy, podobne do łapek chrabąszcza, i nie lekki zez w oczach, gipsowa główka przypominałaby do złudzenia pannę Kazię z MHD.

Maniuś był dziś w tak wyśmienitym humorze, że uśmiechnął się do gipsowej twarzy. Zdawało mu się, że odwzajemniła się jakimś nikłym, ledwo dostrzegalnym półuśmiechem. Zachęcony tym, pchnął drzwi i wszedł. Od razu rzucił mu się w oczy właściciel zakładu – pan Sosenka, a raczej jego wielka, błyszcząca, łysa czaszka pochylona nad namydloną po białka oczu twarzą klienta.

– Szanowanie, panie szefie! – zawołał Maniuś, zdejmując czapkę. – Wygrywamy, panie szefie, co?

Pan Sosenka oderwał brzytwę od sonej twarzy klienta.

– Nie przeszkadzaj! – burknął, posyłając Maniusiowi karzące spojrzenie wielkich, wyłupiastych oczu.

Maniuś skrzywił się. Zrozumiał, że szef jest w złym humorze. To mu się ostatnio dość często zdarzało, gdyż jego ulu-